

CZY STAMBUŁ JEST DALEKO ?

Nasza podróż (w ramach europejskiego programu Comenius) do Turcji i z powrotem do Polski miała trwać od 10. do 18. kwietnia 2010 roku, ale wybuch wulkanu Eyjafjallajokull na Islandii niespodziewanie zmienił okoliczności powrotu.

Pierwsze informacje o erupcji wulkanu dotarły do nas w czwartek 15. kwietnia, ale nie wiedzieliśmy jeszcze, że będzie to miało taki duży wpływ na naszą podróż do Polski. Opuszczaliśmy kraj w dniu katastrofy lotniczej oraz śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego i dlatego bardziej interesowały nas relacje z Polski niż aktywność wulkanu na odległej wyspie. Niepokój o lot wzrastał, gdy docierały do nas informacje od najbliższych oraz z telewizji o zamykaniu lotnisk w Europie, a także o rozprzestrzenianiu się chmury pyłów wulkanicznych. Wtedy rozpoczęliśmy poszukiwania szczegółowych informacji w różnych źródłach: telewizji BBC, lokalnej tureckiej oraz w Internecie. Niestety nikt nie potrafił określić, czy zawieszony loty będą wznowione. Postanowiliśmy więc szukać pomocy na lotnisku w biurze przewoźnika „Lufthansa”. Po dotarciu do portu lotniczego, dowiedzieliśmy się o definitywnym odwołaniu lotu. Tam też spotkaliśmy nauczycielki z Łotwy z naszej grupy comeniusowej, które od dwóch dni oczekiwały zmiany sytuacji.

Na lotnisku panował chaos: wielu ludzi było zmęczonych i bezradnych, ceny pożywienia niezwykle wysokie (np. kawa 6 euro), wyczekujący ludzie zajmowali wszystkie miejsca siedzące, spali na posadzce, przykrywali się ubraniami z powodu niskiej temperatury nocą. Informacje, które otrzymaliśmy od personelu lotniska były szczątkowe i sprzeczne, np. skierowano nas na niewłaściwy dworzec kolejowy. Nie można było dodzwonić się na podane numery telefonów. Pytaliśmy o zastępcze autobusy. Niestety zaproponowano nam jedynie przewóz do Monachium w cenie 180 euro. Poczuliśmy się zdezorientowani i rozdrażnieni, dlatego wzięliśmy sprawy w swoje ręce i udaliśmy się na właściwy dworzec kolejowy (ten po stronie europejskiej). Tam zastaliśmy tłumy oczekujących po bilety na pociągi w różne strony Europy. Okazało się, że podróżnych obsługiwała jedna kasa biletowa i dlatego oczekiwaliśmy 11 godzin, aby dokonać zakupu.

Ciągle wahaliśmy się, czy podejmujemy dobrą decyzję, gdyż wiedzieliśmy, że czekają nas dwa dni podróży i dodatkowe koszty. Stojąc w kolejce dowiadywaliśmy się, że wyprzedano już bilety na kolejne dni, gdyż ze Stambułu wyjeżdża tylko jeden pociąg dziennie do Zachodniej Europy. Nadzieja pojawiła się, gdy został zorganizowany dodatkowy skład. Rozważaliśmy także powrót do kraju autokarem, zorganizowanym przez tureckie biuro podróży, jednakże nie mieliśmy pełnych informacji, a po godzinie 18:00 telefon w konsulacie milczał i nie mieliśmy pewności, czy znajdziemy siedzibę podanego biura. Na dworcu kolejowym panowała spokojna atmosfera, jednakże wszyscy byliśmy bardzo zmęczeni. Tam też ponownie spotkaliśmy swych partnerów ze szkół brytyjskich, a także dołączyły do nas nauczycielki z Łotwy. Rozmawialiśmy również z rodakami, którzy utknęli w Turcji i szukali najlepszego środka transportu.

W poniedziałek 19. kwietnia, punktualnie o godzinie 15:00 wyruszyliśmy z historycznego dworca „Orient Expressu” w Stambule do Bukaresztu. Pierwszy odcinek podróży trwał 22,5 godziny i minęliśmy dopiero jedną trzecią trasy. Jednak byliśmy zadowoleni z wagonów sypialnych, które umożliwiły nam odpoczynek po wielu stresujących sytuacjach. W Bukareszcie wszyscy pasażerowie stanęli w kolejce, aby dokonać ponownej rezerwacji miejsc na dalszy etap podróży. O godzinie 16:00 wyruszyliśmy do Budapesztu. Nie byliśmy zdziwieni, gdy pociąg dojechał do celu z dwugodzinnym opóźnieniem i przejazd przeciągnął się do 14 godzin. Tym razem zajmowaliśmy miejsca siedzące. Nie był to jednak dodatkowy skład lecz normalny rejsowy pociąg.

Za oknem zmieniały się krajobrazy. Kiedy zniknęły wieże minaretów, naszym oczom ukazały się skromne, zaniedbane domostwa Bułgarii, łąki i wysokie wozy, jadące polnymi drogami. Pędziliśmy lub raczej dostojnie sunęliśmy wzdłuż rzeki Dunaj i mijaliśmy Karpaty pokryte mgłą.

Na dworcu w Budapeszcie wysiedliśmy o godzinie 7:30 (czasu środkowoeuropejskiego) i po dwugodzinnej przerwie przesiedliśmy się do pociągu jadącego w kierunku Bratysławy. Piękne widoki Karpat, poranne słońce i wiosenna zieleń dodawały nam otuchy. Niestety nie na długo. Kupując bilet w Stambule, byliśmy zaskoczeni wysoką ceną, ale później okazało się, że

w kolejnych krajach musieliśmy wykupić miejscówki i dopłacić do biletu w Słowacji. Koszty rosły, a do domu było jeszcze daleko. Do Breclav w Czechach dojechaliśmy około 13:00. Kolejny dwugodzinny postój i czekała nas już ostatnia przesiadka do Katowic, do których szczęśliwie dojechaliśmy w środę 21 kwietnia o godzinie 19:00. Radość była ogromna, gdy minęliśmy granicę, a w Katowicach czuliśmy się jak w domu, gdy ujrzeliśmy naszych bliskich.

Nieoczekiwane wydarzenia scementowały naszą przyjaźń i utwierdziły nas w przekonaniu, że możemy na siebie liczyć. Mieliśmy również okazję przekonać się, że ludzie różnych narodowości i odmiennej kultury potrafią ze sobą współpracować.

A jaka będzie odpowiedź na pytanie zawarte w tytule? Zostawiamy to do refleksji czytelników...

E. Kita, D. Nowak, W. Barwicka, B. Walczak, E. Morcinek – SP Lubsza